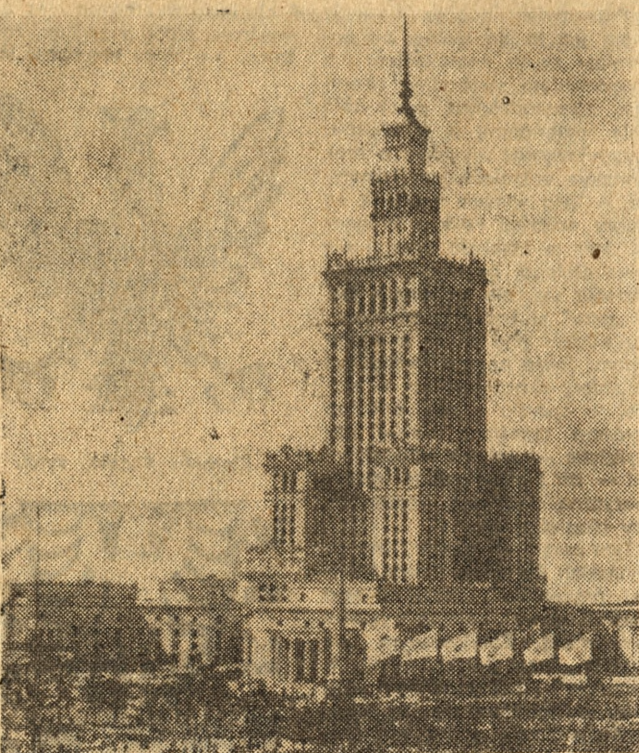


KONKURS „GŁOSU”

A było to w roku...

ZADANIE NR 10
(ostatnie)

21 lipca nastąpiło przekazanie władzom polskim Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, będącego darem Związku Radzieckiego dla narodu polskiego. W pałacu znajduje się 2388 sal, pokoiów i innych pomieszczeń użytkowych o powierzchni 123 tysięcy metrów kwadratowych, jego wysokość wynosi 234,5 metra. W którym to było roku?

Na odpowiedzi, przesłane wyłącznie na kartkach pocztowych z dopiskiem „A było to w roku...” — zadanie nr 10, czekamy do piątku, 10 sierpnia, włącznie. Wśród osób, które nadesiły prawidłową odpowiedź rozlosujemy dwa bonusy PKO, każdy wartości 500 złotych. Nasz adres: „Głos Wielkopolski”, skrytka pocztowa 1074, 60-959 Poznań.

ROZWIĄZANIE ZADANIA nr 8

Było to w roku 1950. W wyniku losowania, nagrody w postaci bonów premiowych PKO wartości 500 zł otrzymują: Anna Białkowska, ul. Klonowicza 6/3, Poznań; Kazimierz Nadolny, ul. Kościuszki 43/5, Rogoźno. Nagrody doręczone zostaną przez pocztę.

Wykorzystane w tym konkursie zdjęcia wraz z ich opisem pochodzą z pierwszego tomu książki pt.: „Polska 1945-1965”, wydanej w 1966 roku przez Spółdzielnię Wydawniczą „Książka i Wiedza”.

POGLĄDY I OBSERWACJE

„Najważniejsze jest własne, krytyczne spojrzenie na to, co się robi, nie zatamywać się porażkami, nie upajać się sukcesami”.

Krzysztof Chamiec

„Przyjaciółka” nr 30

„To, że ktoś raczy się uro-

dzić, jeszcze nie świadczy, że wszystko mu się należy. Trzeba sobie to (...) wypracować”.

Marek Arpad Kowalski

„Przegląd Tygodniowy” nr 31

„Cala (...) teoria równości czy sprawiedliwości społecznej sprowadza się do teorii po-

działu wytworzonego przez społeczeństwo dochodu narodowego; problem tylko, według jakich zasad go dzielić?”

Andrzej Wieluński

„Tygodnik Demokratyczny” nr 31

„Piękny barwny film można dzisiaj nakręcić, przy błysku zapalki, ale co z tego, kiedy poza tą zapalką nie już tam nie ma?”

Mariusz Janicki

„Polityka” nr 30

Hipoteza nie wykluczająca wywiezienia Bursztynowej Komnaty z Królewca w ostatnich miesiącach drugiej wojny światowej zrodziła wiele domysłów — co do ewentualnego miejsca jej ukrycia. Szukano zatem tego skarbu przede wszystkim na terenach byłych Prus Wschodnich, tak w tej ich części, która po wojnie znalazła się w granicach Związku Radzieckiego, jak i w Polsce. Najwięcej chyba szans powodzenia miały poszukiwania w ruinach pałacu hrabstwa von Schwerinów w Dzikowie koło Górowa Wielkiego, dokąd — jak zdołano ustalić — w drugiej połowie roku 1944 przewieziono skrzynie z niektórymi eksponatami z muzeów Królewca. Pałac ów spłonął zimą 1945 roku, a ekipom poszukiwawczym nie udało się odkryć wejść do jego piwnic...

W minionych kilku miesiącach na łamach prasy światowej, ukazały się artykuły wskazujące na nowe miejsca, gdzie ewentualnie mogły zostać ukryte skrzynie z Bursztynową Komnatą. Dodajmy — pod warunkiem, że skarb ów wywieziono z Królewca najpóźniej w styczniu 1945, a więc jeszcze przed zamknięciem przez wojska radzieckie blokad wokół „Festung Koeningberg”. Ślady te prowadzą daleko od granic ówczesnych Prus Wschodnich aż do Europy zachodniej. Czy mogą one wieść do celu, czyli do skarbu zrabowanego na polecenie Ericha Kocha z Pałacu Jekatierinskiego? Bardzo w to wątpię, niemniej z kronikarskiego obowiązku wymienimy te nowe tropy.

Pierwszy z nich związany jest pośrednio z aferą z rzekomymi pamiętnikami Adolfa Hitlera i wiedzie do starej, zalanej wodą kopalni węgla na przedmieściach Goslaru koło Hanoweru. W jednym z szybów kopalni, dokąd woda nie dociera, mają się znajdować trzy pomieszczenia, a w jednym z nich skrzynie z komnatą, zaś w pozostałych archiwum marszałka III Rzeszy — Hermanna Goeringa. W pobliżu skarbu mają też leżeć szkielety czterech więźniów z obozów koncentracyjnych, którzy przenosili skrzynie do kopalni i zostali tam zastrzeleni.

W międzyczasie wybuchł skandal ze sfalshowanymi pamiętnikami fuhrera, a nieco później hipoteza o ukryciu komnaty w zalanej kopalni na terenie RFN pojawiła się znowu. Tym razem ma to być jednak kopalnia soli, gdzie skarb powinien leżeć razem z innymi dziełami sztuki, zrabowanymi na polecenie Alfreda Rosenberga, człowieka-ideologa partii hitlerowskiej, w roku

1946 straconego w Norymberdze za zbrodnie wojenne. Kto jednak zna dzieje Bursztynowej Komnaty, ten wie, że Erich Koch stoczył w roku 1942 ostry spór z Rosenbergiem, który dzieło z bursztynu chciał sobie przywłaszczyć. Spór rozstrzygnął na korzyść Kocha sam Hitler i jest mało prawdopodobne, by później wpływowi gauleiter Prus Wschodnich oddał dobrowolnie ten skarb pod opiekę Rosenberga...

Jeszcze mniej prawdopodobny wydaje się inny trop. Otóż co jakiś czas na łamach prasy zachodniej pojawiają się informacje, jakoby skrzynie z komnatą spoczywały od

ZAGINIONEJ KOMNATY ciąg dalszy (2)

Nowe tropy

dawna w skarbcu któregoś z banków, na przykład szwajcarskich. Cóż, całkowicie wykluczyć tej hipotezy nie można. Oparta jest ona nawet na dość logicznym rozumowaniu — obecni dysponentzi bursztynowego skarbu oczekają, aż wrzawa towarzysząca tej sprawie przycichnie i wtedy będą mogli dowolnie dysponować komnatą wartą dzisiaj grubo setki milionów dolarów.

Czy jednak skrzynie z komnatą mogły podczas ostatnich miesięcy wojny trafić aż tak daleko na zachód? Żaden z dotychczas ustalonych tropów nie wiezie do Szwajcarii czy na tereny obecnej RFN. Odrzuć też trzeba hipotezę, że już po wojnie 27 sporych rozmiarów skrzyni z komnatą udało się przesmygnąć ze Związku Radzieckiego. Polski czy NRD lub wcześniej z radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec na Zachód. Wydaje się to po prostu całkowicie niemożliwe. Stąd też jakiś jeszcze sens mają poszukiwania komnaty tylko na terenie Okręgu Kaliningradzkiego ZSRR lub na naszych ziemiach zachodnich. Na przykład w Człuchowie na Pomorzu Środkowym.

Hitlerowcy z Królewca w sierpniu, wrzesniu, a nawet w październiku 1944 roku nie liczyli się jeszcze z możliwością zafecia stolicy Prus Wschodnich przez wojska radzieckie. „Festung Koeningberg” jest nie do zdobycia! — krzyczał wówczas na publicznych wiecach i do mikrofonów radia królewieckiego Erich Koch. I nie były to wcale częste przechwałki gauleitera. Królewiec był rze-

Gdzie słońce nie zachodzi (I)

Świnoujście zostało za rufą

Od 2 czerwca do 11 lipca 1984 trwała wyprawa Klubu Żeglarskiego AZS-ZSP Politechniki Poznańskiej do Zatoki Botnickiej. Jej celem było dotarcie do najdalej na północ położonych portów Bałtyku. Imprezą była największą, po wyprawie KUBA-80/81, zorganizowaną przez żełarzy z Politechniki Poznańskiej, I choć ich aspiracje są dużo większe, nie mogą być realizowane z powodu braku wydarzenia. Rejs odbył się na jachcie „Wagabunda”, a prowadził go jachtowy kapitan Żeglarni Bałtyckiej Jan Zamiar. Załogę stanowili: Maciej Chlebanowski, Paweł Kuratowski, Jan Koniczny, Ewa Linke, Jarosław Matuszczak, Anna Plenzler, Mieczysław Wybieralski.

Takie pomysły rodzą się tu pełnie nieoczekiwanie. Później trudno nawet powiedzieć, kiedy zaczyna się o nich myśleć poważnie. Gdy trwają już przygotowania, wydaje się, że właśnie na taką rejs chciało się popłynąć zawsze.

Zatoka Botnicka — te dwa słowa powtarzały się wielokrotnie podczas zebrań w „Ha desie”, klubie żeglarskim Politechniki Poznańskiej. Z dnia na dzień rosła lista spraw do załatwienia. Najważniejsze, że był już jacht — stary, wysłużony „Wagabunda” należący do poznańskiego klubu PTTK „Wagabunda”. Dzięki przychylności żełarzy z PTTK, w zamian za przygotowanie jachtu do tegorocznego sezonu, otrzymaliśmy zgodę na rejs od 1 czerwca do 10 lipca.

Okres ten miał być najbardziej optymalnym dla popłynięcia na północ. Akwen ten zalodzony jest zazwyczaj do końca maja. Dla nas interesujące było także popłynięcie do Zatoki Botnickiej w czasie „białych nocy”. Dawało to również duże szanse uniknięcia zderzenia z pniami drzew, które przedostają się do morza z wielkich rzek fińskich.

Daleka północ marzyła nam

się coraz bardziej. W ciągłej krzątaninie pomagali koledzy z klubu, przykładając w ten sposób swoją rękę do rejsu, na który nie mieli przecież popłynąć. Jedni jeździli do Szczecina, by popracować na jachcie, ktoś inny załatwił angielskie mapy oraz spis świateł i radiostacji nautycznych, gdyż wydawnictwa polskie nie obejmują tego akwenu. Z pomocą finansową przysłał studentom Rada Uczelniana ZSP Politechniki Poznańskiej i firma „Inter-Fragrances”.

Maj dobiegał końca, atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca i każdy z ośmioosobowej załogi marzył, by wreszcie nadeszła chwila, w której odda się cumy i minie główki portu. Wreszcie 30 maja, późnym popołudniem „Wagabunda” wyszedł z przystani Miejskiego Klubu Sportowego „Pogoń” w Szczecinie. Obrano kurs na Trzebież, wzorcowy i największy ośrodek szkolenia żeglarskiego w Polsce. Tutaj spędziliśmy ostatnią noc w porcie. W piątkowe przedpołudnie trwały jeszcze prace na jachcie. I choć, jak w piosenkę, wyruszyliśmy do portów naszych marzeń, jacht wcale nie był całkowicie gotów.

Dopiero w Trzebieży załatwiliśmy fińską banderkę, której nigdzie nie mogliśmy kupić. Płynęliśmy do Finlandii i jak zwyczaj każde, banderkę odwiedzanego kraju należało zawiesić pod prawym salangiem. Nam potrzebna była jedynie fińska, gdyż mieliśmy wizy tylko tego państwa. Ambasada szwedzka odmówiła nam wydania wiz, a wnioski o duńskie zezwolenia na przekroczenie granicy można dopiero składać po otrzymaniu paszportów. Te zaś odbieraliśmy tydzień przed rozpoczęciem rejsu. Pozostała nam „tylko” Finlandia. A to równało się przelotowi ze Swinoujścia na Wyspy Alandzkie bez możliwości wejścia do jakiegokolwiek portu po drodze.

Najbardziej żał nam było Bornholmu — duńskiej wyspy leżącej najbliżej polskich brzegów i stosunkowo rzadko odwiedzanej przez polskich żełarzy. Podczas rejsów krajowych polskie jachty zazwy-

czaj okrążają Bornholm, korzysta ją z jego osłony w czasie sztormów, ale bez paszportów i wiz nie mogą zawinąć do portów. Również nam nie było dane jej odwiedzić, podobnie jak sąsiadującej z nim wyspy Christianso, słynącej ze swej ponurej historii. Od połowy XVII wieku stacjonował tu karny garnizon, zaś sto lat później mieściło się na niej jedno z najcięższych więzień.

Ostatnie przygotowania kończyliśmy w Swinoujściu. Był piątkowy wieczór, 1 czerwca. Na godzinę 0.15 zamówiliśmy w kapitanacie portu odprawę. Prognozy pogody zapowiadały sprzyjające nam wiatry południowo-zachodnie.

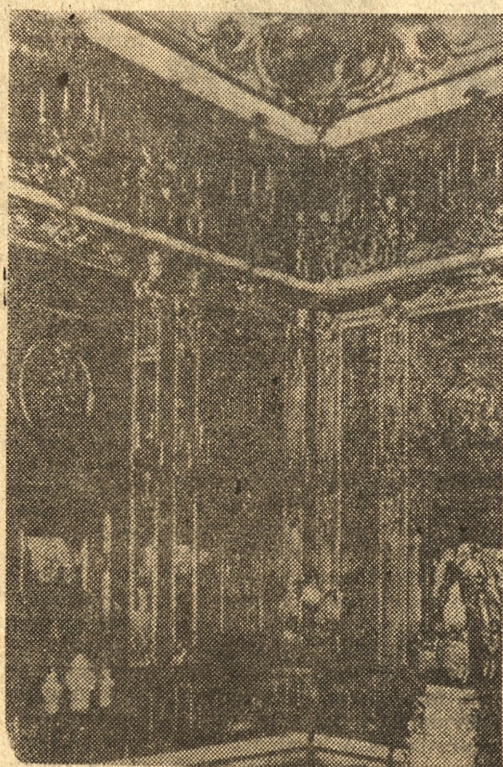
Tuż po północy, a więc już 2 czerwca, podeszliśmy do kaptanatu portu. Załatwienie wszelkich formalności poprzedziło długie czekanie. Paweł czas ten wykorzystał na ukończenie desek sztormowych, przeznaczonych do przytrzymywania naczyń na stole podczas posiłków spożywanych w czasie sztormu. Zajęcie to przerwało mu dopiero przyjęcie WOP-istów, a następnie celników. Zwiastują ci ostatni nie wydawali się być zadowoleni z przeprowadzenia odprawy w środku nocy. Jeden z nich z powątpiewaniem w głosie spytał:

— Czy wy rzeczywiście musicie wychodzić w nocy?

— Niezupełnie... Ale nie chcieliśmy wychodzić w piątek — wyjaśniał ktoś.

Celnik najwyraźniej nie był zachwycony przesadami żeglarszy zabraniającymi im wypłynięcia z portu w piątek — zwłaszcza, gdy jest to początek rejsu. Ale tradycji musiała stać się zadość. Nawet w dzienniku jachtowym w tym dniu wpisano „oczekiwanie końca piątku”.

Odprawy się zakończyły. Jacht mógł wyjść w morze. Paweł oddał cumy, dziobową zaś, by zapewnić szczęśliwy rejs, odciął siekierką. Odchodzimy od nabrzeża, mijamy główki portu. Przed nami jest już tylko morze i setki mil do przeplłynięcia. Rejs się rozpoczął. Za rufą pozostało Swinoujście, na kursie zaś kraj, gdzie słońce nie zachodzi... ANNA PLENZLER



Jedno z nielicznych zachowanych zdjęć Bursztynowej Komnaty.

Reprodukcja — R. Świątkowski

Wydaje się, iż z utratą bursztynowego gabinetu pogodzone się już w Związku Radzieckim. Powoli acz systematycznie posuwają się więc tam prace nad rekonstrukcją komnaty, po prostu nad jej możliwie najwierniejszą kopią. Nie jest to wcale łatwa praca. Brakuje między innymi bursztynu o odpowiedniej kolorystyce, a i z zachowanych zdjęć (zresztą nielicznych), czy opisów, bardzo trudno jest zrekonstruować choćby wygląd detali wykładzin ścian gabinetu, które ongiś można było podziwiać, oglądając je tylko przez... szkło powiększające.

Kiedyś Bursztynowa Komnata wróci więc na swoje miejsce w dawno już odbudowanym Pałacu Jekatierinskim. Jeśli nie oryginał, to tej wierna kopia.

LESZEK ADAMCZEWSKI

